

Z ziemi czeskiej do Polski

27 marca 2020

13 marca w piątek hotel „Brno” stał w centrum Brna prawie tak samo, jak stoi tam od pięćdziesięciu lat. Różnica była taka, że tym razem w hotelowych pokojach chrapało około sześćdziesięciu Polaków, których czeska agencja pracy Manuvia skaperowała do montowania komputerów.

Rano Polacy wstali i tramwajami oraz autobusami komunikacji miejskiej dojechali do fabryki tajwańskiego koncernu Inventec, oddalonej od hotelu o 9 km. Inventec jest o 30 km oddalony od granicy czesko-austriackiej i 50 km od rogatek Wiednia.

Czesi nie są przesądni, toteż na piątek trzynastego zaplanowali szkolenie dla robotników z Polski. Błąd. Trzeba było wierzyć w zabobony. Pierwszą czynnością, jakiej Polacy musieli się poddać po przekroczeniu bramy zakładu, był pomiar temperatury. Okazało się, że Jacek (imię zmienione) miał 38,9 stopnia Celsjusza. Natychmiast go poproszono do pustego pokoju, wyposażono w maseczkę i rękawiczki jednorazowe, po czym kazano czekać.

Czekanie trwało długo. Jacek jest palaczem, od czasu do czasu chciało mu się sikać. Czesi machnęli ręką na rygory i pozwolili mu wychodzić na dymek i do toalety. Co pewien czas zaglądał do niego ochroniarz w maseczce i rękawiczkach, robił kolejne pomiary temperatury, a konsylium fabryczne analizowało wyniki.

Postanowiono wezwać pogotowie. Mimo kolejnych telefonów karetka nie przyjechała. Potem Czesi wyjaśnili, że w tym dniu ich Centrum Powiadamiania Ratunkowego zostało zaatakowane przez hakera, który coś namieszał w komputerach i zrobił się taki burdel, że pogotowie przestało odpowiadać na wezwania.

Może to prawda, a może nie. Po pięciu godzinach czekania Czesi stwierdzili, że nie chcą Jacka. Wezwali taksówkę. Gdy

taksówkarz usłyszał, że ma wieźć Polaka z bardzo wysoką gorączką, uciekł. Wezwano auto Ubera. Kierowca zgodził się zawieźć Jacka do centrum Brna. Za samochodem Ubera jechał samochód z koordynatorkami z agencji pracy Manuvia.

Uber wysadził Jacka przed budynkiem dworca kolejowego. Koordynatorki sprawdziły, że w tym dniu nie ma już żadnego pociągu, który mógłby Jacka zawieźć do Polski. Ale być może jest autobus, który z Brna jedzie przynajmniej do czeskiego Cieszyna. W Cieszynie Jacek mógłby przejść na polską stronę na piechotę.

Dworzec autobusowy w Brnie znajduje się w innej części miasta niż dworzec kolejowy. Ponieważ samochód Ubera odjechał, koordynatorki wsadziły Jacka do własnego auta. A gdy okazało się, że autobus do Cieszyna już odjechał, wróciły z Jackiem na dworzec kolejowy. Kupiły mu bilet do Ostrawy.

Z Brna było bezpośrednie połączenie kolejowe jedynie z Ołomuńcem – położonym 150 km od polskiej granicy. Jacek miał tam przesiadkę. Wsiadł na zabytkowym dworcu kolejowym i czekał na kolejny pociąg. Był to pendolino (po czesku kiwadlo) relacji Praga-Ostrawa.

Niedoszły pracownik brneńskiej fabryki Inventec wysiadł w Ostrawie, gdzie czekał na niego ojciec. Po stronie czeskiej autostrada miała oznaczenia D1, a po polskiej A1. Nawet nie wiedzieli, kiedy przejechali granicę. O tym, że są w Polsce, dowiedzieli się, bo na ich telefony komórkowe przyszły SMS-y: „Uwaga! Ministerstwo Zdrowia: Zagrożenie koronawirusem. Zapoznaj się z informacjami na stronie <http://gov.pl/koronawirus> lub zadzwoń na infolinię: 800 190 590”.

Gdy Jacek podróżował czeskimi pociągami, szefowie fabryki Inventec i koordynatorki agencji Manuvia zastanawiali się, co zrobić z pozostałymi Polakami. Skoro Jacek miał 38,90C to znaczy, że mógł być chory na COVID-19 i pozarażać innych.

Polakom kazano się wynosić.

Mniej więcej dla połowy z nich Manuvia znalazła pracę w innych fabrykach. Dla pozostałych zamówiono autokar, aby ich odwiózł do Polski.

Z południowego krańca Czech na północ autokar jechał autostradą. Kilkanaście kilometrów od Polski autokar z niewiadomych przyczyn zjechał z autostrady i zamiast przekroczyć granicę na A1 w Gorzyczkach, zjechał na stare i małe przejście graniczne w Chałupkach.

Namioty pograniczników rozbite były po czeskiej stronie granicy. Czescy policjanci w charakterze maseczek na twarzach mieli szaliki. Polscy policjanci oraz funkcjonariusze Straży Granicznej nosili maseczki, szaliki lub kominiarki. Jeden ubrany był w skafander kosmity. Pasażerom autokaru zmierzył temperaturę, następnie rozdano im ankiety. Należało w nich wpisać nie tylko to, skąd się wraca, lecz również czy miało się kontakt z osobą mającą objawy zarażenia koronawirusem. Wpisali więc, że tak. Marek (imię zmienione) pamięta, że w czasie wypełniania ankiet mijało ich wiele samochodów na niemieckich blachach. Nie zatrzymywano ich do kontroli.

Po przekroczeniu granicy autokar skierował się do Katowic. Już po polskiej stronie Marek i wszyscy pozostali otrzymali SMS-y. W Katowicach byli późno w nocy. Czekala na nich policja.

Nie chodziło o zagrożenie epidemiczne. Autokarem podróżowała para żyjąca w konkubinacie. Mężczyzna pokłócił się z partnerką o jakieś sprawy rodzinne. Wybuchła awantura i zniecierpliwiony kierowca przez telefon wezwał policję. Ta zgarnęła parę rozrabiaków. Pozostałym pasażerom kazano rozejść się do domów.

Jacek (ten od wysokiej gorączki) skorzystał z porady zawartej w SMS-ie. [Dziś na stronie rządowej](#) można przeczytać następującą informację: „Jeśli wróciłeś z zagranicy przed 15 marca, czyli przed wprowadzeniem obowiązkowej kwarantanny dla wszystkich podróżnych powracających do Polski, i obecnie nie

jesteś objęty obowiązkową kwarantanną i nie masz objawów choroby, mimo wszystko przez 14 dni od powrotu do kraju kontroluj codziennie swój stan zdrowia. Jeśli tylko zaobserwujesz któryś z objawów choroby, zadzwoń natychmiast do stacji sanitarno-epidemiologicznej”.

Z informacji tej nie wynika, żeby kołkiem siedzieć w domu. Jacek zadzwonił do sanepidu. Nikt z nim nie chciał rozmawiać. Nikogo nie interesował ani jego stan zdrowia, ani to, czy miał z kimś kontakt i kiedy. Zadzwonił więc do największego szpitala w Katowicach. Powiedział, że może być chory. Lekarz na to, żeby siedział w domu i czekał na rozwój wypadków. Gdy spytał, czy zbada go jakiś lekarz, usłyszał, że wszystkie przyszpitalne poradnie na czas epidemii zostały zamknięte.

Marek z autokaru również zadzwonił do sanepidu. Spuszczono go na drzewo. Jego też żaden lekarz nie przebadał.

Jacek i Marek codziennie do siebie dzwonią, informując się o stanie zdrowie. To samo dotyczy sporej grupy pozostałych niedoszłych pracowników Inventecu, koordynatorek z Manuvii i czeskiego ochroniarza. Wszyscy mają pietra. Wszystkich kompletnie olano. Mimo próśb i apeli nikt nigdy ich nie przebadał.

Autorstwo: Mateusz Cieślak

Źródło: TygodnikNie.pl